

Czarownice z Baskonii

1

Mgła się rozproszyła. Jest początek lata, żar leje się z nieba. W zacienionych uliczkach przechodnie prześlizgują się pod murami domostw. A w półmroku kościoła Gracjana spłukuje obficie wodą kamienne płyty posadzki. Młoda dziewczyna nie myśli o tym, co robi, nie myśli też o Bogu, myśli o Peyo, który wyruszył z Saint-Jean-de-Luz w podróż na odległy kontynent. Jej narzeczony wraz ze swoim przyjacielem Andrèsem zaciągnął się w ostatniej chwili na statek, obaj wybrali połów wielorybów zamiast uprawy ziemi, która prawie nic nie dawała. O tym odległym kontynencie Gracjana wie tylko to, że nazywa się Nowa Ziemia.

„Nie martw się, moja Gracjano. Wróćę zdrów i cały. Za bardzo zależy mi na tobie, żebym chciał ginąć na morzu jak jakiś głupek”. Roześmiał się i podał jej swoją brązową pasterską pelerynę. „Obiecuj mi, że będziesz się nią okrywać, a ja w ten sposób będę zawsze blisko ciebie, żeby móc cię ochraniać”.

Gracjana szybko narzuciła pelerynę na ramiona i zapięła ją pod szyją na piękny guzik z bukszpanowego drewna, własnoręcznie wykonany przez Peyo. „Dobrze, Peyo, będę ją nosiła codziennie”.

Peyo objął Gracjanę, a ona z oczami pełnymi łez patrzyła, jak odpływa statkiem na ten najbardziej niebezpieczny na świecie ocean. Nieraz słyszała, jak marynarze mówili, że na północnym Atlantyku fale są wysokie jak mury, nie do przebycia, i twarde jak kamień. W ostatnim sezonie nie wróciło z połowów ośmiu mężczyzn. Wieloryb wciągnął ich w głębinę. Gracjana próbuje sobie wyobrazić ich ciała unoszące się w morskiej otchłani i prosi Boga, żeby Peyo powrócił żyw z tej wyprawy. Ma tylko jego, no i Ibana. Iban to jej mleczny brat. Gracjana była sierotą, wychowywali ją rodzice Ibana. Iban jest księdzem, a jednocześnie przyjacielem Peyo z czasów dzieciństwa. Obiecał, że zaopiekuje się Gracjaną.

„Nie martw się, Peyo. Potrzebuję kogoś do posługi w kościele. Będzie sprzątała u mnie w kościele, a Nasz Pan będzie nad nią czuwał”.

Gracjana ceni spokój i chłód panujący w kościelnym wnętrzu. Lubi swoją pracę i wykonuje ją sumiennie. Świątynia jest zadbana i ukwiecona jak nigdy dotąd. Stała się jej schronieniem. Tu, oddalona od zewnętrznego świata, próbuje wyobrazić sobie wspólną przyszłość z Peyo. Powiedział, że wyrusza tylko na czas, który pozwoli mu zarobić pieniądze i uniknąć pracy na służbie. Gracjana rozmyśla więc nad przyszłym domem, z zieloną łąką i, być może, zwierzętami. Spogląda teraz na tego Boga siedzącego na złocistym tronie. Czy On ją widzi? Czy ją słyszy?

Dzisiaj Gracjana szykuje się do prania, u siebie w domu. Będzie prała haftowane obrusy z kościelnych ołtarzy. Kiedy wychodzi z kościoła, niosąc te obrusy, jej wzrok przyciąga jakiś

dziwny orszak zmierzający do pobliskiego wzgórza. Zaś stojący na czele orszaku Pierre de Lancre nie dowierza własnym oczom. Co robi ta kobieta w świątyni Boga? Jak to możliwe, że posiada klucze do kościoła? Przecież tylko duchowni mają prawo do takiego zaszczytu. No i dlaczego wynosi obrusy liturgiczne? Na Boga, może to jakaś złodziejka? No tak, złodziejka na służbie szatana! Orszak zatrzymuje się w ciszy przerywanej jedynie oddechem koni i dreptaniem końskich kopyt. Umysł królewskiego wysłannika wyciąga pospieszne wnioski. Oczywiście, król ma rację, diabeł jest wszechobecny na tych ziemiach i zagraża stabilności tego regionu.

W początkach XVII wieku obecność diabła nie budziła żadnych wątpliwości. Jean Bodin, autorytet tamtych czasów, pisał przecież wyraźnie, że diabeł wysyła swoich emisariuszy, żeby demoralizować ludzi. Pierre de Lancre przestudiował jego dzieła, jest przesiąknięty ich treścią, zafascynowany również traktatem *Malleus Maleficarum* („Młot na czarownice”). Królewski wysłannik jest uformowany na modłę ówczesnych idei, tym bardziej, że ojciec zmuszał go do nauki z wielką surowością. Jako dziecko cierpiał z tego powodu, natomiast jako dojrzały mężczyzna jest za to wdzięczny ojcu. Trudna droga doskonalenia sprawiła, że dzisiaj to właśnie jemu monarcha powierzył prowadzenie tej nadzwyczajnej misji.

Z miejsca gdzie się znajduje, widać czerwone połyskujące w słońcu dachówki miasta Bayonne i wody Adouru roznoszące słoneczne blaski na okoliczne wzgórza. Na granicy ciemnych lasów rozciągają się intensywnie zielone łąki, idealnie zarysowane, zaś w głębi tego pejzażu nawarstwiają się harmonijnie szczyty Pirenejów, niczym obrazy ze starych baśni. Piękno tego krajobrazu przejmuje do głębi. Pierre de Lancre jest wzruszony. On i jego bliscy pochodzą z tej szlacheckiej krainy. I przychodzi

mu na myśl pewne wspomnienie. Widzi siebie jako dziecko, znajduje się w składzie win należącym do jego rodziny, na ścianie dostrzega niedawno powieszoną tam mapę. Zaciekawiony, wodzi po niej wzrokiem.

„Bordeaux, Béarn, Bigorre, Biscaye...” Brakuje jednej nazwy. Szuka jej, ale nie znajduje.

„A gdzie jest Baskonia, dziadku?”

Nie podnosząc oczu znad dokumentów, dziadek odpowiada: „Zapewniam cię, że pan Oronce Fine, geograf królewski, zna swój zawód.

– Ale...

– Jeżeli tej nazwy nie umieścił na mapie, to oznacza, że czegoś takiego nie ma. Kraj Basków nie istnieje”.

Ponieważ mały Pierre wydaje się nieusatysfakcjonowany tą odpowiedzią, dziadek dorzuca: „Baskonia to ziemia biedaków. Zapomnij o niej. Teraz jesteś mieszkańcem okolic Bordeaux, dziedzicem winnic i win. Pochodzisz ze szlacheckiego i bogatego regionu”.

– Co się dzieje, Pierre? Dlaczego się zatrzymaliśmy? Czy coś się stało?

Jean d'Espaignet, uczestnik orszaku, sędzia w parlamencie Bordeaux, zaintrygowany sytuacją, wysunął się konno naprzód.

– Nie, nie – pospiesznie odpowiada de Lancre. – Ruszajmy!

W międzyczasie Gracjana zdążyła już zniknąć z pola widzenia Pierre'a de Lancre, a on zaczął przeklinać w duchu swoją niekonsekwencję. Jak to się stało, że pozwolił sobie na taki przyływ wspomnień i to w momencie, kiedy przyłapał tę kobietę w tak zastanawiającej sytuacji? Przecież dziadek i ojciec ostrzegali go, żeby nie ulegał żadnym pokusom, nawet pięknego

krajobrazu. Iluż to ludzi widział, którzy popadli w ruinę z powodu majątku, kobiet, dzieł sztuki czy biżuterii. Nieświadomość doprowadziła ich rodziny i ich posiadłości do upadku.

„Jeżeli coś jest zbyt piękne, powtarzał jego dziadek, miej się na baczności. Diabeł zawsze jest w pobliżu”.

Pierre de Lancre posiada wszystko, aby móc korzystać z życia, ale jego podejrzliwość jest ogromna. Solidna edukacja trzyma go na wodzy, także strach przed błędem, przed niedbalstwem – a zatem wady, których w jego rodzinie obawiano się jak dżumy i starano się odegnąć wytężoną pracą. W tej chwili, upokorzony, opanowuje się jednak i przysięga sobie być bardziej czujnym w przyszłości. Ta misja to wielki zaszczyt. Dla króla, dla państwa, dla bliskich, zaś on, królewski wysłannik, musi być bez zarzutu.

2

W wielkiej sali zamku służba zapaliła już ośmioramienne świeczniki i ustawiła na koziołkach długie drewniane blaty pokryte białymi obrusami. Zapadła noc. Weneckie naczynia i weneckie kielichy odbijają blaski świec. Goście napływają do sali, a królewski wysłannik oddycha z ulgą. Nareszcie, nareszcie kultura, elegancja i wykwintne dania! Po kilkudniowej wyczerpującej podróży w kurzu i błocie znajduje owo wyrafinowanie, do którego przywykł, zaś zgromadzeni goście z uwagą słuchają jego relacji z wyprawy. De Lancre żali się, że jego karawana, nie mając możliwości ominięcia wielkich wrzosowisk, podczas trzeciego etapu podróży wielokrotnie grzęzła w błocie.

– Straszliwa pułapka – irytuje się, przeklinając to pustkowie usiane lagunami i kiepskimi drogami... – Można by pomyśleć, że zostały celowo tu umieszczone, aby wytracić podróżników, którzy się nieopatrznie zapuścili w te strony.

– A jednak podjął pan to ryzyko! – wykrzyknęła z podziwem Aimée d'Artix. – Ma pan rację, to było niebezpieczne. Na tych

wrzosowiskach roi się od obdartych i wygłodzonych żołnierzy, którzy rzucają się na wszystkich. W ubiegłym miesiącu obrabowali jakiegoś ubogiego komiwojażera, który się tam zagubił. Miał pan szczęście, że pan się na nich nie natknął.

W tym momencie Pierre de Lancre nachyla się do swojej sąsiadki i z dziwnym uśmiechem na ustach odpowiada:

– Myślę raczej, szanowna pani, że to oni mieli szczęście i nie natrafili na mnie.

Pani domu, zaskoczona tą odpowiedzią, zaśmiała się nerwowo. Aimée nie odczuwa ani współczucia, ani empatii dla tych żołnierzy pozostawionych na pastwę losu przez króla Francji po wielu latach służby, podczas wojen religijnych, ale ton wypowiedzi jej gościa jest zastanawiający. Czy to jakieś ostrzeżenie? Co chciał przez to powiedzieć? Aimée jest zaniepokojona. Wyczuwa jakby ukrytą agresję. Dobrze wie, że de Lancre znalazł się tu, żeby oczyścić ten region, a jej własny syn przyczynił się do jego przybycia. W liście podpisanym przez seniora i przez zarządcę tego regionu usilnie prosił on Henryka IV, ażeby uwolnił ich od czarownic i od zaklęć, które rzucają na tutejsze posiadłości. W rzeczywistości jednak te czarownice mają rysy ich nieprzejednanych wrogów z wybrzeża, z Ciboure i Saint-Jean-de-Luz, przeciwko którym prowadzą bezlitosną wojnę.

Król nieprzypadkowo wybrał Pierre'a de Lancre. Aimée d'Artix jest z nim spokrewniona, te więzy powinny ją uspokajać, ale musi pozostać czujna. Czasy są niepewne. Wszędzie mnóstwo szpiegów, jedni zdradzają drugich. Nie tak dawno ludzie mordowali się nawzajem bez litości. Książę Gwizjusz i Henryk III stracili życie i nikt nie wie, do którego świętego się zwrócić ani do jakiego Boga się modlić. Przez trzydzieści lat wojen religie nastawiły wrogo jednych ludzi przeciwko drugim

i nie jest dobrze znaleźć się po złej stronie. Ale która jest dobra? Aimée dokonała już wyboru. Jest katoliczką, tak jak królowie Hiszpanii, zaś niedawna konwersja króla Francji, Henryka IV, budzi jej obawy. Nie zapomina, że był protestantem i synem wielkiej kapłanki Joanny d'Albret.

Nieoczekiwanie honorowy gość wieczoru przerywa tok ponurych myśli Aimée, wznosząc toast za jej zdrowie i pomyślność rodziny. Sypie przy tym komplementami na temat wykwintnych potraw i różnorodności dań, a robi to tak umiejętnie, że Aimée odzyskuje spokój i postanawia cieszyć się atmosferą udanego wieczoru. A pomijając już wszystko inne, interesy jej syna mają się dobrze.

Muzycy grają tradycyjne melodie, a lokaje napełniają kielichy gościom. Zachwyceni biesiadnicy nie odrywają oczu od królewskiego wysłannika i chłoną jego słowa. Aimée, dumna, że może podejmować krewniaka, który jest bywalcem dworu królewskiego, wyjaśnia siedzącej obok znajomej, że Pierre de Lancre jest wnukiem Basków, nawet jeżeli ta gałąź rodu dorobiła się majątku na handlu winem w Bordeaux, a stolica Akwitanii stała się widownią ich niespodziewanego awansu społecznego. De Lancre skoligacony poprzez małżeństwo ze sławną rodziną Montaigne'a, którego stryjeczną wnuczkę Jeanne de Mons poślubił, lansował się jako humanista, zgodnie z tą nową wówczas filozofią. W tej szybkiej i nadzwyczajnej karierze fortuna i stanowisko jego ojca, sędziego i doradcy królewskiego, odegrały, rzecz jasna, niebagatelną rolę. Dużo czasu spędził we Włoszech, stosownie do mody panującej wówczas na europejskich dworach. Pobierać nauki tylko we Francji...? To trąciło pospolitością, należało być kosmopolitą i władać wieloma językami. Ostatecznie Pierre ukończył studia i zrobił doktorat z prawa na renomowanym uniwersytecie w Turynie.

– Ale... – odzywa się siedząca obok znajoma i po chwili wahania pyta – jego pradziadek nazywał się Rosteguy, chyba się nie mylę?

Aimée potwierdza.

– A więc skąd ta zmiana nazwiska? Czyżby baskijskie pochodzenie mu przeszkadzało?

Aimée wyprostowuje się, nieco zirytowana. Owszem, Pierre nazywał się Rosteguy, ale pragnąc się zasymilować ze środowiskiem władzy i dworu, lepiej było posiadać nazwisko z przyimkiem „de”.

– Sprawy zostały załatwione zgodnie z przyjętymi zasadami, bez żadnej kradzieży. Jego majątny ojciec kupił tytuł szlachecki i dom. Nie widzę problemu...

Zakłopotana sąsiadka już nie drąży tematu. W głębi duszy myśli jednak, że wypieranie się swojego pochodzenia, żeby zadowolić rządzących, to nie jest dobry znak. Zwłaszcza w przypadku Basków, tak dumnych ze swoich korzeni.

Noc już zapadała, kiedy goście zaczęli opuszczać zamek. Księżyc oświetlał teraz ich sylwetki pod drzewami rozległego parku, tworząc nieomal teatralną scenerię. Oszołomieni wystawnym przyjęciem na zamku szacownej rodziny, goście odczuwają radość z przebywania we własnym, tak zacnym gronie. Z wysokości kamiennych schodów Aimée odprowadza ich wzrokiem aż do momentu, kiedy ostatni powóz niknie na drodze ku Hiszpanii. Dzisiejszy wieczór kosztował ją sporo wysiłku i wymagał strategii, chociażby w zaplanowaniu miejsc przy stole, niemniej okazał się wielce udany.

– Wieczorne przyjęcie, szanowna pani, było nadzwyczajne – oświadczył zarządca regionu przy pożegnaniu. – A czcigodny wysłannik królewski to nasz znaczący sprzymierzeniec. Słyszała pani, jak surowo karcił naszych wrogów, tych armatorów

z wybrzeża? „Odrywać ludzi od ziemi żywicielki, odrywać od rodzin, żeby wysłać ich na zgubę w morskich odmętach? Toż to szatańskie dzieło!” – wyrecytował zarządca głośno i dobitnie.

– „To działać wbrew woli Boga. Oto dlaczego tu przybyłem. Jestem do Jego dyspozycji” – uzupełnił uroczyście syn Aimée. – Wszyscy to zrozumieli. Już jutro wysłannik królewski uda się na wybrzeże, żeby czynić to co konieczne. Tak przecież postanowiono.

Aimée czuje przyływ dumy. Nareszcie zapanuje sprawiedliwość. Wrogowie z wybrzeża pojmą wreszcie, że nie wolno porywać wieśniaków i robić z nich marynarzy! W niespełna dwa lata armatorzy z Ciboure i Saint-Jean-de-Luz niezmiernie się wzbogacili, a właściciele ziemscy podupadli z powodu braku plonów i ludzi do uprawy roli. Arogancja tych nowobogackich, którzy umieszczają fałszywe herby na fasadach swoich domów, a ponadto każą się obsługiwać czarnoskórym niewolnikom, irytuje Aimée w najwyższym stopniu.

Ale dzisiejszego wieczoru może się czuć usatysfakcjonowana. Jej syn, a także jej przyjaciel, zarządca regionu, pan Caupenne, umiejętnie zaognili spór, skarżąc się na czarownice. Pomijając parlament Bordeaux, obaj skierowali swoje pismo bezpośrednio do króla Francji. Ale dlaczego król ich wysłuchał? Czy to nie jest zbyt grubymi nićmi szyte... Jaki może być w tym interes króla? Biorąc pod uwagę niestabilność panującą we Francji, burzliwe relacje z królem Hiszpanii, Henryk IV ma naprawdę mnóstwo innych spraw na głowie. Nie mówiąc już o tych historiach z kobietami, które przysparzają mu poważnych kłopotów.

Ponure myśli dręczą Aimée, kiedy udaje się do sypialni. Wilgotne nocne powietrze sprawia, że odczuwa duszności. Otwiera szybko okno. Wpada świeży podmuch, w parku panuje cisza

przerywana jedynie pohukiwaniem sowy ukrytej gdzieś w listowiu. Aimée oddycha głęboko. Ta kraina, rozgwieżdżone niebo, niekończąca się linia horyzontu, ocean szumiący w oddali za błękitnawymi wzgórzami, pokrzepiają ją w momentach zwątpienia. Nagle ciszę przerywa głośny rechot żaby. Zaintrygowana Aimée spogląda w stronę fosy i wydaje okrzyk przerażenia. Szkaradna ropucha patrzy na nią swoimi wylupiastymi oczami. Przestraszona Aimée zamyka pospiesznie okno i ucieka do łóżka. Widziała już wiele żab, które pojawiały się w tym wilgotnym zakątku rodzinnej posiadłości, ale takiego potwora jak ta brunatna ropucha pokryta wielkimi brodawkami nigdy dotąd nie spotkała. Zobaczyć coś takiego, i to po uroczystości uświetniającej przybycie Pierre'a de Lancre, to nie może być przypadek... Kobieta drży na całym ciele.

Może to znak, Aimée wierzy w znaki. Urodziła się w czasach, kiedy ludzie upatrywali we wszystkim interwencji nieznanych bóstw. Jeżeli nawet czasy Renesansu rzucają nowe światło na cały świat, a przyczyniają się do tego również filozofowie, pisarze i uczeni – tego wieczoru ich wiedza nie pokona demonów i wiedźm niepokojących umysł starszej damy.

„Czarownice noszą na swoim prawym ramieniu obrzydliwą ropuchę – oświadczyła niedawno Augustyna, jej sąsiadka. – Każdy, kto spojrzy w oczy tej ropuchy, idzie prosto do piekła!”.

No tak, sąsiadka Augustyna traci po trosze rozum, ale Aimée też czytała to znakomite dzieło *Malleus Maleficarum*. Ta książka wzbudziła w niej nowe lęki, jeszcze gorsze niż te rozmaite duchy z pogańskich wierzeń, jakimi karmiono ją w dzieciństwie. Stare kamienie tego zamku też wzbudzają niepokój. *Malleus* mówi wyraźnie: ręka diabła jest wszechobecna. Nie dziw zatem, że Aimée dopatruje się diabelskich sztuczek także w ciemnych szczelinach pomiędzy kamieniami.

3

Tysiące mil stąd, pod niebem innego kontynentu, młody mężczyzna ochlapany krwią rozcina podbrzusze ogromnej samicy wieloryba. Jego ruchy są precyzyjne i silne. Właśnie otworzył jej brzuch. Samica jest ciężarna. Z pomocą dwóch innych marynarzy zabijają małe wielorybiątko licznymi ciosami noża. Peyo ma dwadzieścia lat. Zabijał już i ćwiartował niemało wielorybów, ale wielorybiątko widzi po raz pierwszy. Stoi teraz pośrodku bezkształtnej masy trzewi i lepkich jelit, musi uważać, żeby się nie poślizgnąć. Od czasu kiedy zaczął zabijać i rozcinać stalowym ostrzem żywe ciała wielorybów, poznał co to strach. Strach, który ściska mu żołądek, wywołuje mdłości, strach, który każe mu szybko dorastać, żeby stawić czoło przeciwnościom i po prostu przeżyć. Czy na ławicach Nowej Ziemi przy brzegach Zatoki Świętego Wawrzyńca istnieje jakiś wybór dla tych mężczyzn, oprócz wspólnej walki z ogromnymi stworami morskimi? Surowość tej walki pochłania wszystkie ich siły i nie pozostawia miejsca na konflikty czy spory. Nie ma czasu do

stracenia. Młodych mężczyzn porywa szalona nadzieja, że pewnego dnia nie będą już zależni od jakiegoś możnowładcy na ziemi czy na morzu. To dla tej wolności ryzykują swoje życie przy każdej wyprawie. Wieczorami, przy kominku, pieką plasterki wielorybiego mięsa na rozżarzonych węglach, dzielą się swoimi marzeniami o posiadaniu statków, zdolnych transportować surowce otrzymane z dwudziestu pięciu wielorybów, i to tylko z jednej wyprawy. Skarby z takiej wyprawy to kilometry wysuszonych jelit do produkcji lin, ogromne ilości fiszbin potrzebnych wytwórcom parasoli i gorsetów, kości wielorybów służące niemal do wszystkiego, nie mówiąc już o skórze czy tysiącach ton oleju niezbędnego do oliwienia wszelkich mechanizmów, do oświetlania ulic i domów. Jedna taka wyprawa przynosi krocie.

Tego wieczoru Peyo ma smutne myśli. Polowania na wielkie ssaki morskie mają niewiele wspólnego z połowem ryb na wodach portu Saint-Jean-de-Luz. Zmiana kontynentu to zmiana wszelkich proporcji, tu trzeba prowadzić twardą walkę. Wieloryby bronią się przez długie godziny, niekiedy przez całe dni. W maleńkim oku ich ogromnego cielska Peyo dostrzega strach. Zakrwawione, porozdzierane harpunami, bronią się, dopóki starcza im sił. Ich wytrwałość budzi podziw marynarzy. Tej nocy Peyo miał niedobry sen. Widział siebie, jak rozcina nożem brzuch maleńkiego wieloryba. W pewnym momencie, kiedy już wypadły wnętrzności, odkrywa, że to brzuch Gracjany. Przerażony, budzi się z krzykiem.

– Co ci jest, zraniłeś się? Coś cię boli?

Andrès z niepokojem patrzy na Peyo.

– Nic, nic, miałem koszmarny sen.

Całodzienna masakra, wyczerpująca praca pośród krwi i otwartych wnętrzności, nie oszczędza żadnego z marynarzy.

Stała obecność przemocy psychicznej i fizycznej. Do tego nie można się przyzwyczaić. Jedni stają się twardzi, inni się upijają, wszyscy zaś popadają w przygnębienie. Ale nikt nie opuszcza Nowej Ziemi. Po powrocie do kraju będą opowiadać z dumą o zmaganiach, o straszliwych starciach z oceanicznymi potworami. Właśnie to pozwala żyć ich rodzinom przez długie miesiące. Nie tak dawno Peyo słuchał marynarzy z podziwem i im zazdrościł. Teraz odkrywa cierpienie, które skrywali milczeniem podczas kolejnych powrotów.

– Nie martw się – mówi do Andrésa. – Już się uspokoiłem.

– Jesteś pewny?

– Tak.

Nie ma mowy o nastrojach. Tutaj nie można wątpić ani tracić ducha. Ładownie statków muszą być wypełnione, a to dopiero początki. Andréś nie jest naiwny, ma tylko nadzieję, że Peyo wytrwa.

4

Słońce już weszło i mocno przygrzewa. Amalia się spieszy. Murgui przybyła z wiadomością, że w Ciboure czekają na Amalię, żeby odebrała poród od córki Etcheverry'ch. W torbie ma już rozmaite maści i zioła zbierane w górach, na stokach Rhune. Dobrze wie, co ma czynić, mimo to jest niespokojna, jak przed każdym porodem.

Obecność ruchliwej Murgui drażni Amalię. Młoda dziewczyna chciałaby czuć się pomocna, ale Amalia nie ma takiej potrzeby, jakkolwiek ze wszystkich dzieci, którym pomogła przyjść na ten świat, Murgui jest jej ulubienicą. Od piętnastu lat mieszka wraz z ojcem, wytwórcą powrozków z Ciboure, nazywają ją „Cyganka”, co jest aluzją do pochodzenia jej matki. To Amalia była przy narodzinach Murgui i jako pierwsza trzymała ją w swoich ramionach. Murgui jest piękna, nieco porywczą. Także dosyć zuchwała i odważna. Często jest obiektem żartów z powodu swojego pochodzenia, a jej uroda wywołuje zazdrość. Plotka niesie, że lubi uwodzić mężczyzn. Ale to

nieprawda, Murgui kocha tylko jednego: Bixente'a, młodego węglarza, który żyje na skraju lasów w pobliżu przełęczy Lizarieta, trochę handluje z młodymi Hiszpanami, również węglarzami. Nie wiadomo czy ich ciemna skóra to skutek nadmiaru słońca, czy nadmiaru pyłu węglowego, ale dziewczęta wolą schodzić im z drogi, kiedy młodzieńcy pojawiają się w porcie Ciboure i Saint-Jean-de-Luz. Bixente w otoczeniu swoich kompanów, równie zasmolonych jak on, idzie teraz z podniesioną głową, ręce trzyma w kieszeniach brudnych spodni. Będzie niezmordowanie odbijał pelotę, dopóki nie zacznie mu krwawić skóra na dłoni. Z ukrycia Murgui obserwuje chłopaka. Mogłaby tak patrzeć na niego całymi godzinami i słuchać jego zadowolonego śmiechu przy każdym udanym odbiciu piłki. Jest zabawny, nieco krzykliwy, wszystkie zaś niepokoje, które niszczą ducha tutejszego ludu, wydają się nie naruszać jego radosnego usposobienia. Kiedy Murgui patrzy na Bixente'a, zapomina o złośliwościach i niegodziwych żartach. On jest taki promienny, jest całym jej szczęściem.

– Czy ty ciągle jeszcze bujasz w obłokach? Zmykaj do domu.

Dzieciątko w Ciboure już się urodziło i Amalia jest zmęczona. Kręci głową, patrząc na biegnącą przez pola dziewczynę. Amalia czuje ciężar lat. Żadne z tych dzieci, którym pomogła się urodzić, nie jest jej dzieckiem. Nigdy nie chciała zostać matką. Jej szczęście i jej bogactwo znajdują się w zasięgu ręki. W przyrodzie, w roślinności, w tym maleńkim świecie owadów i wszelkich żyjątek. Świt jest zachwycający, Amalia wdycha pachnące powietrze. Zbiera jagody, należy je zrywać przed wschodem słońca, a potem suszyć wedle przepisów, jakie otrzymała od kobiet ze swojej rodziny, uzdrowicielek od niepamiętnych czasów. W domu jej przodków nic się nie zmieniło.

Chata z glinianą podłogą, jedna izba, gdzie jej prababka i babka żyły samotne. Mąż pierwszej z nich zmarł z wyczerpania pracą na roli, która prawie nic nie dawała, mąż drugiej zginął na morzu. Amalia nie знаła swojego ojca. Związał się z jej matką „na próbę”, zgodnie ze zwyczajami tego kraju. Jako najstarsza z rodzeństwa, matka Amalii odziedziczyła dom rodzinny, podczas gdy ojciec Amalii, jako młodszy z rodzeństwa, został pozbawiony domu. Ale ich związek nie przetrwał. Matka Amalii wolała przemierzać góry i uzdrawiać ludzi, ojciec zaś, młodszy z rodzeństwa i pozbawiony spadku, poszedł w świat. W młodości myślała o swoim ojcu ze ściśniętym sercem. Czy wiedział, że ma córkę? Ale nie skupiała się na tych myślach. W tym kraju należało przede wszystkim myśleć o własnym utrzymaniu, to było najważniejsze.

Jedyny i naprawdę bolesny epizod w jej życiu miał miejsce, kiedy to ona zapragnęła wyjść za mąż. Na tych ziemiach panowała surowa zasada: jako najstarsi z rodzeństwa, ani ona, ani mężczyzna, którego pokochała, nie mogli opuścić swojego domu ani swoich przodków. Dom dyktował swoje prawa. Musieli się do tego bezapelacyjnie dostosować, chociaż oboje bardzo z tego powodu cierpieli. Amalia bardzo pragnęła żyć obok Paskoala, słyszeć brzmienie jego słów i odgłos ciężkich kroków we wspólnym domu. Przez dziesięć lat spotykali się w grocie nad brzegiem morza. Przeżyli tam wiele pięknych chwil, ale i doświadczyli wielu łez. Pewnego dnia Amalia przyniosła małego szczeniaka znalezionej w górach. Paskoal nazwał go Czakur, co po baskijsku znaczy „pies”. Rozśmieszyło to Amalię. Z upływem lat spotkania stały się coraz rzadsze, a kiedy ich przodkowie pomarli, było już zbyt późno, żeby chcieli zamieszkać razem. Nadal się kochali, ale nauczyli się żyć każdy

po swojemu. Ona przemierzała góry w poszukiwaniu leczniczych roślin, on wędrował z psem po kamienistej ziemi. Kiedy przypadkiem ich drogi się krzyżowały, uśmiechali się do siebie z radością, chwilę rozmawiali, a potem każdy szedł w swoją stronę, czując wzruszenie w sercu.

Wracając z Ciboure, Amalia dostrzegła Paskoala z nieodłącznym kijem w ręku i Czakurem u stóp. Spod beretu męczyzny wystawały mlecznobiałe włosy, a czoło i policzki były poorane bruzdami. Trzymał się prosto, a spojrzenie miał nadal bystre.

– Co tu robisz o tej porze, z dala od pastwisk i zwierząt? Przecież to nie twój szlak.

Zamiast odpowiedzi, stary bacca wskazał na gęste czarne chmury gromadzące się nad horyzontem.

– Od dzisiaj, Amalio, nie schodź na wybrzeże – powiedział, mrużąc oczy. – Niebiosy mi mówią, że tam będą się działy niedobre rzeczy. Mam złe przecucia. Siedź w swojej chacie ukrytej w górach.

Potem pozdrowił ją i bez słowa więcej oddalił się w swoim kierunku. Amalia jest wzruszona, jak zawsze gdy go spotyka. Pod tą brunatną peleryną, którą się okrywał, dostrzega w nim teraz basajauna, starego leśnego pustelnika z wierzeń tutejszych ludzi. Niewątpliwie Amalia przemierzając bezustannie szczyty i doliny, uniknęła fali chrystianizacji, która usiłowała wykorzenić stare wierzenia ludu wrażliwego na zjawiska nadprzyrodzone. Jedna religia, jeden król, jedno królestwo. Centralizacja władzy posuwa się naprzód, zaś bogini Mari, matka natury, podobnie jak rozmaite czarodziejskie istoty, basajauny, laminaki czy inne jentilaki, zamieszkujące te ziemie od zarania dziejów, muszą zniknąć. Nie tylko król Francji i papież robią tu

porządki. W królestwie Hiszpanii Ferdynand Aragoński i Izabela Kastylijska, katoliccy monarchowie, wypędzają wyznawców innych religii. Protestanci, muzułmanie, moryskowie i żydzi są zmuszani do opuszczenia kraju. Amalia nic nie wie o tych królach ani o ich decyzjach, ale pilnie słucha Paskoala, ponieważ dla niej nie ma nic bardziej wiarygodnego aniżeli ostrzeżenia starego leśnego pustelnika.